

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 4

Katowice, 31-go stycznia

1932

Na niedzielę Mięsopestną.

Ewangelja

zapisana u św. Łukasza, rozdz. 8, w. 4—15.

W on czas: Gdy zebrała się wielka rzesza, a i z miasta garnęli się do Jezusa, przemówił w przypowieści: Wyszedł siewca, by zasiać ziarno swoje. I kiedy siał, jedno padło podle drogi, zostało zdeptane, i ptactwo powietrzne wydziobało je. Inne zaś padło na grunt skalisty, a zakiełkowawszy, uschło, bo nie miało wilgoci. Inne znowu padło między osty, a osty razem wzrosły, i przygluszyły je. Inne wreszcie padło na ziemię dobrą, i wzrósłszy, przyniosło plon stokrotny. Mówiąc to, wołał: Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha! — I pytali Go uczniowie Jego: Co oznacza ta przypowieść? A On im rzekł: Wam dano poznać tajemnicę Królestwa Bożego, innym zaś przez przypowieści, aby „patrzyli, a nie widzieli, i słuchali, a nie rozumieli” (Iz. 6, 9). To zaś oznacza ową przypowieść: Ziarnem jest słowo Boże; a podle drogi są ci słuchacze, do których potem przychodzi szatan i porwuje słowo z ich serca, aby przez wiarę nie byli zbawieni. A na gruncie skalistym są ci, którzy z radością przyjmują słowo, skoro posłyszają; ale ci nie mają korzeni, którzy wierzą do czasu, a w chwili pokusy odpadają. A to, które padło między osty, oznacza tych, co słuchają, ale wśród drogi troskami, bogactwami, i rozkoszami życia bywają przyduszeni, i plonu nie przynoszą. A to, co jest na dobrej ziemi, oznacza tych, którzy w dobrem i szczerem sercu, usłyszawszy słowo, zachowują je, i w cierpliwości plon przynoszą.

Nauka.

Ewangelja o słowie Bożem, o słuchaniu kazania! Jakże powszednie niejednemu z nas słowo Boże, słyszane w niedzielę i święto w świątyni! Przypomnij nam się kazanie. Zapominamy, że jest

ono słowem naprawdę Bożem! Nie jest kazanie wykładem uczzonego człowieka, nie jest przemówieniem wiecowem, ani deklamacją wygłoszoną dla przyjemności słuchających. Jest ono jakoby ogłoszeniem pochodzącem z nieba, jest upomnieniem i nauką Stwórcy i Pana dla stworzenia za pośrednictwem sługi Bożego!

Miałbyż się Bóg zniżać, w majestacie Swoim niepojęty, do tego, by rozmawiać z człowiekiem? A człowiek, mizerne stworzenie, jestże w stanie usłyszeć Boga na ziemi? I jedno i drugie dzieje się w każdym kazaniu! „Rozmaicie i wielu sposobami przemawiał Bóg przez proroków, potem mówił do nas przez Syna Swego” i apostołów. Dziś przemawia do nas Bóg przez Kościół św., Biskupów i kapłanów. Jak ongi czynił to przez proroków, przemawia do nas w każdym kazaniu kapłana! Uprzymiśnij sobie to, ilekroć widzisz i słyszysz kapłana na ambonie! Opuści cię wtedy duch krytyki przekornej i obojętnej, a wstąpi w ciebie duch czci i poważania dla słów kapłana, choćby niezdolnych i prostych!

„Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha”, donośnym „woła” Zbawiciel głosem! Jakąż więc ważną jest rzeczą słuchanie kazania! To obowiązkiem naprawdę ważnym i świętym! Nie poprzestawaj na uczestniczeniu we Mszy św. w dni świąteczne, wysłuchaj także kazania z należytem nabożeństwem!

Słuchaj kazania pobożnie! Tylko wtedy ziarno słowa Bożego przyjmie się w duszy twojej. Strzeż się, abyś nie był jako ci, którym „djabł wybiera słowo Boże ze serca, aby uwierzywszy nie byli zbawieni”; ani jako ci „co korzeni nie mają i w czasie pokusy odstepują, co przez rozkosze żywota bywają zaduszeni”, lecz staraj się, byś należał do tych, „którzy dobrem i wybornem sercem usłyszawszy słowo Boże zatrzymują i owoc przynoszą w cierpliwości!” Amen.

Na Gromniczną.

W kościele na sumie
Organy grają.
Dzwony na wieży
Lud wierny wołają.

Dziś kapłan boży
Gromnice święci.
Ku Bożej chwale
I Bożej pamięci.

Przyszła babka stara,
Co nic w życiu nie ma,
Tylko tę gromnicę.
Co ją w ręku trzyma.

Bo życia dostatek
Wraz szybko przemienie,
A świeca zostanie
W ostatniej godzinie.

W ostatniej godzinie
Nad człowieka łóżem
Niech obrazek wisi
Z wizerunkiem Bożym.

I niechaj w tej chwili
Każdemu przyświeca
Zbożną ręką kapłana
Świecona gromnica.

Halina Adamska-Michalska.

Matka Boska Gromniczna.

Nietylko ludzie, lecz wszystko, co żywie, w Marji Panny zostaje opiece; Ona się światem troszczy dobrotliwie, muszką w powietrzu, drobną rybką w rzece, ptaszyną małą z piskletami drobniemi, nawet robakiem, co wypelza z ziemi na Związowanie, gdy się zbudzi wiosna; bo Ona świata jest Matka litosna!...

Dobytek ludzki ochrania od szkody i nawet wilki z żarłoczną paszczką w zimowe noce od wiejskiej zagrody odgania Sama opiekuńczą ręką.

Święty Mikołaj, co je w ryzach trzyma, gdy spadną śniegi i nadejdzie zima, ich dziką horde na części rozbiła, aby za Jego wyłącznym nakazem na ludzkie dobro nie spadały razem; więc mają sobie działy wyznaczone. i każdy idzie tylko w swoją stronę, gdzie mu wyznaczył Święty legowisko, od ludzi z dala, od siebie nie blisko.

A na Gromniczną, gdy się z kniei zwłóczą i jak rabusie po polach rozłożą, za łupem weszą, a złowrogo mruczą, i między sobą na śniegu się swa-

rzą, i głodnym zębem kłapią i dokoła robią wyprawę na uśpione sioła. Panienka Święta staje im na drodze z gromnicą w ręku, wśród tumanów śniegu, i wilcze stada zatrzymuje w biegu.

I tak na straży cichej wioski stoi, więc napaść przed nią cofa się i boi, i nie śmie naprzód iść, gdy światło zoczy...

Gdy wystraszone stado się rozkoszy, to w jaką stronę cofnie się wilczysko, w tę już umykać musi przed gromnicą; zielone ślepia wściekłością mu świecą, ale łeb zwiesza i wyciąga szyję, jak nieskulony chyłkiem w śniegu brodzi i w ciemne lasy spłoszony uchodzi.

Gdy w noc miesięczną wilki w polach wyją, ludzie się ze snu budzą z wielkim strachem, i słysząc szept pod słomianym dachem:

— W Swoją obronę weźmij nas, Marjo!...

I znów zasypia z tą ufnością wioska, że w śniegach nad nią czuwa Matka Boska...

Święty Błażej.

Biskup i Męczennik — dnia 3 lutego.

Przed laty czytałem w pewnej gazecie następujące oświadczenie: „Moja młoda kuzynka od czterech czy od pięciu lat cierpiała na ból gardła, a straciwszy zupełnie głos, nadaremnie kilkakrotnie jeździła do Paryża dla zasięgnięcia rady najsławniejszych specjalistów.

W czasie przeniesienia relikwii św. Błażeja dałem jej malutki relikwiarzyk, zalecając, aby się modliła do św. Błażeja.

Przed Wniebowzięciem rozpoczęła nowennę do Matki Boskiej i do św. Błażeja. W dzień Wniebowzięcia w czasie Mszy św. uczuła się nagle zupełnie zdrową, głos odzyskała, z łatwością zaczęła śpiewać łącząc głos swój dziękczynny z modlitwami wiernych...

Kimże jest właściwie ten św. Błażej, o którym mowa w powyższym oświadczeniu? Trzyma lewą ręką dwie zapalone świece. Prawą błogosławi. To błogosławi biskup ormiański, słynny Błażej z Sebeste. W roku 303 dostał się do więzienia. w którym przesiedział aż do swej męczeńskiej śmierci 316 r. Był z zawodu lekarzem. Malują go na obrazach ze świecą. Długo bowiem ślęcząc w ciemnym więzieniu nie chciał zaniedbywać nauki. Dlatego nieraz prosił swych parafjan, by mu przynosili nietylko pożywienie, lecz także świece. Do więzienia w Sebeste przyniesiono razu pewnego chłopczyka, któremu ość utkwiła w gardle. Św. biskup uczynił znak krzyża św. i wybawił chłopca

od grożącej mu śmierci. Ten cud zadecydował o tem, że do dziś dnia świętego Błażeja lud nasz uważa za patrona szczególniejszego w chorobach gardła. W dzień św. Błażeja przykładają kapłan ubrany w stulę czerwoną dwie palące się, złożone na krzyż świece do szyi, mówiąc taką modlitwę: Za wstawieniem się św. biskupa i męczennika Błażeja niech Cię Bóg zachowa od choroby gardła i wszelkiego innego nieszczęścia. Amen.

W Neapolu znajduje się bogaty wspaniały kościół św. Błażeja, w Rzymie ołtarz św. Błażeja przepyszenie jest ozdobiony, kaplica cała zawieszona ofiarami: wszystko to świadczy wymownie o licznych łaskach otrzymywanych za przyczyną Świętego. I dzisiejszym czasem warto przypomnieć św. Błażeja. Dwie świece widzimy w ręku jego. Jedna to świeca miłości Bożej, druga — świeca miłości bliźniego. Dla Boga przecierpiał św. Błażej męczeńsko w więzieniu długie lata. Ile pomocy byli musieli doznać od swego biskupa parafjanie, jak głęboko była się wryła w serce wdzięczna pamięć za odebrane dobrodziejstwa, jak wdokonalona musiała być u parafjan miłość bliźniego, że aż do śmierci o nim pamiętali i aż do śmierci z nim się dzielili kawałkiem chleba! Te dwie świece miłości Boga i miłości bliźniego niech goreją w dzisiejszych smutnych biednych czasach w sercu naszym! Miłosierdziem pokażemy, że jako katolicy prawdziwymi jesteśmy uczniami bożymi.

Pokusa głodu.

Była to pora zimowa, mroźno i śnieżno na świecie, a jak to zwykle w Warszawie, moi kochani ludzie, pełno ruchu i gwaru na ulicach, a dziwić się wcale nie będziecie, kiedy wam powiem, że to był jeszcze do tego dzień świąteczny, bo wiecie o tem dobrze, że w całym naszym kraju kochanym, czy to na wsi, czy w mieście, każdy w dniu takim ubrawszy się jak może najschludniej, rad spieszy

do kościoła, aby Boga chwalić i podziękować za odebrane łaski, albo też jak dobre dziecko przed ojcem popłakać trochę na powszednie troski, z małą nadzieją, że się przecie zmienią muszą. Nic też dziwnego, że wśród rozmaitych ludzi nikt nie uważał młodego druciarza, który z wybladłą twarzą, w cienkiej podartej guńce, smutnie szedł sobie przez jedną z głównych ulic, z teskną spogląda-

jąc na to mnóstwo różnorodnych postaci, pomiędzy którymi ani jednej znajomej nie spotkał twarzy; a bolesno i ciężko było na sercu biednemu chłopcu; cztery lata miało właśnie jak porzucił ukochane swoje strony, gdzie choć nieraz głodno i chłodno, ale jednak najswobodniej minęły mu lata dzieciństwa, i gdyby nie matka wdowa, którą w wielkim ubóstwie chciał własną poratować pracą, pewnoby nigdy nie oglądał murów wielkiego miasta, gdzie mu się tak ciasno i smutno od razu wydawało; dotąd jednak życie wlokło się jako tako młodemu Antkowi, odszukał kilku znajomych rodaków, zarobek jakkolwiek lichy, był jednak częsty i już kilkadziesiąt złotych przesłał dla matki. Kiedy nagle szczęście zupełnie odwróciło się od niego; co dzień prawie wracał bez grosza do gospody, aż wreszcie zabrakło mu nawet na suchy kawałek chleba, którym się od niejakiego czasu żywił, i już od trzech dni napróżno chodził od domu do domu, od drzwi do drzwi, błagając o robotę, wszędzie mu jej uparcie odmawiano, głód coraz silniej zaczął mu dukać, a nie mógł przenieść na sobie tej myśli, żeby kogo z przechodzących zaczepiać jaką prośbą o wsparcie; zbyt silnie bowiem utkwili mu w pamięci słowa zmarłego ojca, który zawsze mawiał: że wstydem jest żebrać człowiekowi, mającemu zdrowe członki i siłę do pracy. Po czyją zaś własność nie sięgnąłby ręką choćby przyszło umierać z nędzy.

Nie są to jednak żarty trzy dni nie mieć w ustach; głód jest zawsze okropną rzeczą, a często do straszliwych doprowadza kroków; któżby się więc dziwił Antkowi, że uniesiony ostatnią rozpaczą, zapomniał o dniu świątecznym, i zabrawszy nieodzwonne narzędzia, puścił się na miasto z nadzieją jakiegokolwiek zarobku. Już dobrze od godziny błąkał się po rozmaitych ulicach, i wszędzie odmowną odbierał odpowiedź; kiedy wszedłszy na drugie piętro bardzo ludnej kamienicy, otworzył drzwi i zapytał bardzo błagalnym głosem: „A nie macie państwo garnków do drutowania? — ale nikt nie odpowiedział tym razem. — Antek wszedł dalej; w kuchni nie było nikogo, cały komin zastawiony był rozmaitemi naczyniami, z których uchodzące smakowite zapachy, boleśnie podrażniły wygłodniały żołądek biednego górala, zaczął jeszcze chwilę, a widząc, że nikt nie nadchodzi, porwał sporą pieczeń, stojącą na samym brzegu w miedzianym rędlu i prawie nie wiedząc co czyni, uniół ją z sobą w odległy kąt dziedzińca; krótko trwała uczta, gdyż nieszczęśliwy Antek, bojąc się, żeby mu kto nie wyrwał smacznej zdobyczy, dużymi kawałkami połykał mięso, i w mgnieniu oka wypróżnił cały rądel.

Następnego dnia komisarz policji jednego ze znaczniejszych cyrkulów Warszawy, wchodził właśnie do biura, kiedy przed samym progiem został zatrzymany przez druciarza, który trzymając w ręku spory rądel miedziany, prosił go o chwilę posłuchania. Był to znajomy nam Antek, który uniesiony pokusą głodu, spożywwszy pieczeń, nie wiedział co począć z pozostałym rądlem, gdyż wrodzona rzetelność nie dozwalała mu go zatrzymać u siebie, a obawa kary nie dała również zwrócić go na właściwe miejsce.

A teraz zgadnijcie poczcwi ludzie, jak się to skończyło?... Oto pan komisarz rozczulony do łez szczerością nieboraka i jego nędzą napisał króciut-

ki list do owych nieznajomych państwa, do których rądel należał, i zarumienionemu od wstydu Antkowi udać się do nich polecił.

Możecie sobie wyobrazić moi mili, z jakim pomieszaniem biedny druciarz otworzył drzwi do owej kuchni, którą po raz pierwszy z taką trwogą opuszczał; łzy płynęły po bladej jego twarzy, kiedy stawiając w oczach zadziwionej kucharki zabraną rądel, zapytał nieśmiało, czy są państwo w domu. Uradowana służąca pobiegła do pokoju, a wkrótce pan domu, człowiek nadzwyczaj dobry i miłosierny, odebrał z rąk Antka karteczkę komisarza; ten zaś cały drżąc z obawy, cofnął się w sam kącik kuchni, i jak winowajca przed sędzią oczekiwał jaki nań wyrok wydadzą. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast gniewu, ujrzał na twarzy szlachetnego pana wyraz głębokiego współczucia. Łaskawie zapytania właściciela rądla, rozwiązały język góralowi; długo i tklawie mówił o ukochanych stronach, gdzie odebrał życie, z tęskną łzą na oku wspominał starą matkę, a skoro wymienił niewielką sumkę pieniężną, jaką pragnął zebrać, żeby do niej powrócić, nieznajomy uniesiony serdeczną życzliwością, sięgnął do kieszeni i wyjął z pugilaesu papierki, a ściskając czarną rękę Antka, życzył, aby mu te pieniądze szczęście przyniosły, i znać spełniło się życzenie zacnego pana, gdyż w parę miesięcy potem, Antek w towarzystwie kilku swoich rodaków powracał w swoje góry, z radością jaką każdy łatwo pojmie, jeżeli ktokolwiek zmuszony był porzucić chatę i wioskę rodzinną, w której wszyskko, co ukochał sercem, pozostawało.

Dodać tu musimy na koniec, że nasz góral wróciwszy do domu, pierwszej zaraz niedzieli wyspowiadał się w kościele z owego błędu, do którego przywiodła go pokusa głodu, błagając Boga, ażeby mu nadal użytych więcej mocy i wytrwałości.

Pieniądze bez pracy.

(Dokończenie.)

Małgorzata podniosła się z pod drzewa i ciekawie wychyliła głowę z za płota, obydwoje oczami wpatrzyła się w twarz parobka.

— Czy pamiętasz, — zagadnął Franek, — Jacka Piłę, co to siedział w tej zawalonej chacie pod lasem?

— Pamiętam, no i cóż z tego? — odparła Małgorzata.

— Otóż ten Jacek Piła jest teraz wielkim panem, — ciągnął dalej parobek, — ma nową chałupę, parę morgów gruntu, piękne konie i bydło...

— Ba, gadasz próżne rzeczy Franku, toć u niego bieda, co tak jak mówią, siekierą nie urąbie, a skądżeby on zaś tak nagle przyszedł do takiego bogactwa?

— No, zgadnijże skąd, moja Małgoś, — przerwał prędko parobek.

Dziewczyna poskrobała się w głowę, ale na próżno starała się zrozumieć.

— Cóż powiesz teraz, — dodał filuternie Franek, — kiedy usłyszysz, że my oboje za parę mie-

sięcy jak tu stoimy, możemy zostać równie, albo też i więcej bogatymi od niego?

— No gadaż nareszcie mój miły i drogi Franku, — zawołała prosząc Małgorzata, bom już ogieńcie ciekawa, jakim to sposobem możnaby przyjść do pieniędzy bez prac.

— Postawić na loterii — odpowiedział parobek.

— Albo ja wiem co to ta loteria, — rzekła wstrząsnawszy głową Małgorzata.

Tu Franek nie namyślając się długo, zaczął objaśniać zaciekawioną dziewczynę, dodając, że dziś właśnie spotkał się z Jankiem, pachciarzem dworskim, i dowiedział się, że właśnie ma los na loterię do odstąpienia

Małgorzata wahała się z początku, lecz w końcu wymowne słowa parobka do tego stopnia potrafiły ją przekonać, że porzuciła myśl kupienia nowej chustki, a przeznaczone na ten cel pieniądze obrócić na opłatę losu, której drugą połowę Franek obiecał uiszczać z własnej kieszeni. Do tego czasu jeszcze powtarzają włościanie z Borowej, jak Małgorzata od chwili nabycia owego losu na loterię, stała się jeszcze leniwszą i opieszalszą w wykonywaniu swych obowiązków niż przedtem, a co gorsza, cała zajęta myślą, że wkrótce bez pracy zostanie wielką panią, zaczęła gardzić i pomijać swoją gospodynią, co nareszcie zmusiło dobrą Pliszkówę do wydalenia jej ze służby. Znalazła wprawdzie inną obowiązki we wsi, ale i tu nie sprawując się lepiej, ze wstydem w parę tygodni została wypędzona; w trzeciej także nie inaczej poszło, aż nareszcie doszło do tego, że Małgorzata tulając się od służby do służby, niczego się dorobić nie mogąc w nadziei owej wygranej, brudną i łopotarą odzieżą swoją powszechny wstret budziła.

Wszystko to było za tygodniem, miesiąc za miesiącem, a o pieniądzach ani słuchu. Franek wprawdzie regularnie przychodził po miesięczną opłatę, ale ile razy Małgorzata zapytała o wygraną, tłumaczył jej, że jeszcze musi mieć cierpliwość, i że to niezawodnie później nastąpi. Ale Małgorzata wydawszy ostatnie parę złotych, już zupełnie straciła nadzieję polepszenia losu, a nawet nieco pilniej zaczęła się przykładać do pracy, kiedy wtem jednego wieczora, właśnie kiedy wracała z pełnym skopkiem mleka z obory, przybiegł do niej zadyszany Franek i z wielką radością oznajmił jej, że los ich wyszedł szczęśliwie i nazajutrz odebrać mogą w miasteczku po półtora tysiąca złotych. Dziewczyna upuściła skopek na ziemię i z największą uciechą pobiegła opowiedzieć wszystkim o swoim szczęściu; poczciwi gospodarze, u których służyła, serdecznie podzielali jej radość i wcale nie brali jej za złe, że całą noc przewracała się z boku na bok, mruczając jakieś niezrozumiałe słowa, lub wybuchając tak dziwnym śmiechem, że aż dreszcz przechodził na ogłós jego. Ale nazajutrz rano, kiedy gospodyni nie mogąc się doczekać, weszła do komory, żeby ją obudzić ze snu, zadziwiła się nie pomалу, ujrawszy Małgorzatę z dziko zakrzywonemi oczami przytuloną w kącie do ściany, a skoro ją zawołała po imieniu, dziewczyna poczęła krzyczeć przeraźliwie, że jej skarb chce odebrać i z ściśnionemi pięściami rzuciła się prosto na wieśniaczkę. Na ten krzyk wbiegł gospodarz, zgromadziła się reszta czeladzi, a ujrawszy że Małgorzata

znać z wielkiej radości zmysły utraciła, związano ją pomimo silnego oporu, i tego samego dnia odwieziono ją do miasta, do szpitala obłąkanych.

Franek dowiedziawszy się o tym smutnym wypadku, rozśmiał się tylko pod nosem i przechwalał się głośno, że przecież trochę lepiej użyje swoich pieniędzy. Ale wypadki dalszego życia przekonały wszystkich, że mówić a czynić to bynajmniej nie jedno. Nabył on wprawdzie opuszczoną gospodarkę we wsi, ale pomnąc jak lekko przyszły mu pieniądze, wcale nie myślał ich oszczędzać, i większą część dnia przepędzał w karczmie. W krótkim też czasie został nałogowym pijakiem, stracił chudobę i zasiewy, a we dwa lata po wygraniu pieniędzy, znowu został tak biednym jak wprzód i wszedł w służbę do jednego z gospodarzy, z tą różnicą, że teraz odwyklszy od pracy i uległości dla drugich stał się nierównie nieszcześliwszym. Na koniec pewnego razu stoczywszy wielką kłótnię ze swym gospodarzem, mocno podchocony powłókł się z fająką do stogu siana, ażeby tam nieco z gniewu ochłonać, tymczasem sen skleił mu powieki, i nie wprzód odzyskał przytomność, aż gdy uczuł silne parzenie, pochodzące z płonącego siana. Ratanek stał się już niepodobnym, a nazajutrz zmienne do niepoznania ciało Franka znaleziono w tem samem miejscu.

— Mój Boże! — rzekł starzy Pliszka, wracając z pogrzebu Płużycy, tak też to słusznie mówi nasz dobrodziej, że najmilszy i najpewniejszy to groź z krwawej pracy człowieka, a co lekko przyjdzie, to i lekko pójdzie, a często jeszcze i gorzej, jak to teraz mamy dowód na Franku i Małgorzacie.

Falszywy przyjaciel.

Na leśnej polanie zziębnięty i spocony stoi drwal nad stosem drzewa i myśli sobie: trza się napić gorzałki, to człokowi siły w kościach przybędzie! Alboż to prawda? Widzieliście już kiedy biedną szkapę, która z trudem ciągnie ciężki wóz pod górę? „Wio stara!“ — krzyczy furman, klnie siarczyście i ze złością okłada ją biczem. Szkapie jakby nagle sił przybyło. Zrywa się, wyteża, szarpie dyszlem, a za chwilę pada i zdycha. A ja wam mówię, że ten drwal, co w gorzałce szuka pocieszenia podobny do tego głupiego woźnicy, co swoją szkapę biczem podnieca i życia pozbawia.

Humor.

W pewnej szkółce.

- Co widzicie na niebie podczas pogodnej nocy?
- Gwiazdy
- Dobrze, a czy umiesz je policzyć?
- Mogłbym, ale gdyby się zamieniły na złote i leżały na stole.

Piekarz u optyka.

- Proszę o okulary, któreby powiększały przedmiot o kilka razy. To mi potrzebne do mego fachu.
- A czem się pan zajmuje?
- Robię bułki tak małe, że ich dojrzeć nie mogę.